NUMER 6. DNIA 7. LUTEGO 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

W PRATATRACH.

W południe zaczął deszcz padać. Duże, ciężkie krople zaczęły monotonnie wydzwaniać po liściach twardych, metalicznie lśniących. Paprocie śpiewały. Nawet misternie wypiętrzone korony walchiowych araukaryj odezwały się, z taką powagą, jak lasy dębowe greckich koczowisk w prastarej Dodonie.

Wszystko zaczęło śpiewać na zboczach pratatrzańskich.

Był tu las dziewiczy w całem znaczeniu. Z wysmukłych cienkich filarków rozchodziły się liście, uciekając od ziemi, strzelając palmowo na wszystkie strony a wykrojone tak przebogato, że wyrazu braknie. Tymi liśćmi paprocie drzewiaste budowały sklepienia, po przez które przedzierało się wprawdzie gnieniegdzie słońce, ale zawsze tylko podstępem. Bo las był tak zwarty i gęsty i tak cisnący się ku słońcu, że wszystko napierało na siebie wzajemnie: liście, konary i pnie, wszystko parte przed siebie, rzekłbyś strachem, żądzą światła, a czasem — jak to bywa, niewolniczym pędem.

Wszystko skłębiało się w jedną całość.

Przeto żaden promień nie dochodził na dno, w skrytki prastarej puszczy, w których noc panowała, parna, odurzająca.

Dywanów z plam świetlnych, jak są w naszych lasach, tam nie było. Dzień tonął w zieleni owych sklepień, zwartych po nad ziemią, tam zatracał siły swoje, rozpraszał pragnienia zdobywcze.

Zatrzymywał się, gdzie z drzewa na drzewo przeskakiwały paprociowe ljany, gdzie był chaotyczny obraz, jakby labirynt z greckiej bajki, stare podanie, jakby szopenowska balada; tu szałem splątane ljany, przerzucające się w podskokach i tworzące zagmatwaną siatkę, albo wyprężone, jak koty, w chwili przed skokiem albo zaczajone i z ciemności wylewające się gromadą skłębionych węży, albo jeszcze gdzieindziej obszarpane, bez tchu biegnące z dołu do góry i z góry na dół, rozkołysane, gorączkowo budujące mosty, raz wiszące, pajęcze, raz ciężko na kolumnach lasu wsparte, raz zamaszyste, epopeją cisnące się ku słońcu, jakby za złotem runem Argonauci.

Gdzie rzedniały gąszcza, tam zdawały się ciągnąć gotyckie, rycerskie sklepienia przedługich sal, ciążące na filarkach palmowych, jak mroczne komnaty w Malborgu, lub wielka nawa pod sklepieniem św. Krzyża.

Nigdzie nie widać było polany leśnej. Nigdzie podłoża świecącego skałą lub czerwoną ziemią, która jest macierzą dziewiczych, tropikowych lasów.

Nawet gdzie walchie budowały las cedrowy, tam wykwitał ciężki, puszysty dywan paprociowy, byle tylko zasłonić macierz i zataić, że pod sklepieniem liści, w nocy, dokoła rozpostartej, parnej i tajemnej, butwieje i rozpada granit, granit tak zazwyczaj jędrny, twardy i oporny.

Z lasu zrobiła się jedna wielka armja, której celem stało się zataić tajemnicę wnętrza.

Trzeba było tylko zatrzymać każdą kroplę dżdżu i niedać żadnej unieść najmniejszej choćby szczypty ziemi i tem zdradzić, że pod zielenią liści, przepychem barw i linji kryje się jednak nieświeża krew, zbutwiała, złowrogie i trupie tchnienie zimowych, kartagińskich leż z Kapui.

Każde drzewo przeistoczyło się w żołnierza. Paprocie rozwidliły liście, szeroko, jak parasole, aby zatrzymać każdą kroplę, aby każdej ująć coś ze

siły spadania; inne paprocie rozwarły się tarczowato, aby niedobite krople złowić, osłabić i już spokojnie do ziemi przeprowadzić.

Niby dygnitarz wśród mniejszego zielska, wytrysł sagowcowy pęd z groźnie rozwartymi, spiczasto-palczastymi liśćmi. Ten wpół przecinał krople ostremi klingami.

Były nawet formy hełmowato uzbrojone, które głucho jęczały, przeciągle, — wprost metalicznie dudniąc pod gradem kropel, rozpryskiwanych na tysiączne części.

Wczoraj szalał w ciągu godziny tornado i wybił parę drzew na zboczu, tworząc rozległy wyłom.

Tam mógłby teraz deszcz popracować.

Lecz nie. Z zewsząd już zbiegają się ljany ku otworowi. Cisną się, szamocą, duszą się, pracują bez tchu, by tylko bliznę zamurować...

Liście zielone, mocno błyszczące już tryumfują, a za parę dni będzie jeden gąszcz, a z burzy ani śladu.

Bo jak las lasem, tak cały złożył się na ten jeden cel: nie wypuszczenia pyłku z pod swych stóp. Korzenie towarzyszą tej pracy, wpijając przedługie ramiona w ziemię, kurczowo, niby polip, przytrzymując każdą jej grudkę tajemną.

Cały las, w tem jednem, jedynem dążeniu był niepomny wielkiego prawa, ciążącego nad wszelakiem życiem, prawa stanowiącego, że gdziekolwiek coś rośnie, kwitnie i rozpycha się, w okazałość i przepych wkracza, tam równolegle, jak cień przy świetle, zgromadzają się rozkładowe miazmaty, zużyte, beztlenowe powietrze, materjały bagienne i jadowite wywary.... a te potrzebują wydalenia.

Las był głuchym na to, że błogosławić należy wiatr, który zbliża się rycząc, kręcąc się w zaciekłym tańcu.

Że błogosławić należy deszcz, burzę, złowrogi grad, ulewy rozszalałe i pełne błyskawic... czcić orkany, przepełnione zapachem ozonu i nieustającem biciem piorunów......

———

Pewnej nocy szeroka łuna pokryła niebo. Wulkany pod Krakowem po dłuższej chwili spania rozgorączkowały się ponownie. Zaczęła z nich lawa buchać i staczać po zboczach, paląc lasy paprociowe i walchiowe. Chmura dymu podnosiła się na ich pochyłościach, a wiatr niósł w dal suchy trzask błyskawicznie płonących gałęzi i liści. Z kraterów krakowskich biły płomienie i głosy.

Popiół wulkaniczny przepoił powietrze, porwany wichrem opadał na zielone liście drzew pratatrzańskich, szarym nalotem pokrywał je złowrogo, jakby chcąc zmusić do pokuty. Nadchodzący dzień był właściwie zmierzchem. Przez chwilę tylko wyjrzało słońce z poza pyłu, nie złote i jasne, jeno zielonkawe, jak meduza, jeno krwiste i dymiące, jak paląca się Troja.

Niby tarcza z malachitu, okolona żałobną wstęgą, płynęło znowu po chwili czyli tak, jak wygląda słońce z poza popiołów i pyłów wulkanicznych.

Musiały kratery na dobre zbudzić się, kiedy z ich kuźni raz wraz wylatywał grom, goniąc pod ziemią, wstrząsając górami, całą równiną, brzegiem i dnem jezior.

Stok pratatrzański zaczął nagle drżeć....

. . . .

Kiedy słońce z za chmur wyjrzało, nie było więcej lasu. Ani tej całej chmury lśniących liści, ani kierdelu splątanych ljan, ani paprociowego dywanu.

Jakby szatan zniszczenia przyleciał i jednym rzutem ręki całą zieloność zdarł po zboczach, zdrapał.

Stok czerwienił się w słońcu bez zielska i rozgwaru flory. Puszcza została nielitościwie rozszarpaną. Granit tu i ówdzie wyzierał w postaci nagich żeber.

U stóp tylko góry, duża masa kamieni, iłu czerwonego i stratowanej, zżółkłej roślinności, wczoraj tak świetnej jeszcze a dziś dogorywającej, zdradzały zawalenie się mocno podgniłego stoku....

———

U stóp Jagnięcego stoję, na Koperszadach bielskich. Przedemną Kiezmarski kuty w granicie, poważny nad miarę.

Kosodrzewy giną mi z przed oczu. Jak mgła rozwiewa się i ginie dal Spiska i baszta Kołowego.

Słyszę na stokach suchy trzask ognia: wyrastają zewsząd lasy, piorunem rozkrzewiają się szumne, rozśpiewane w deszczu.

Zielenią się, jak daleko zbocze ciągnie.

Potem spoglądam na rozdrapane przedemną wierchy...

A potem znowu śnię...

Jutro wszystko pocznie się zielenić. Pojutrze pokryje się wszystko nowem pokoleniem, listowiem sztywnem i rozrzutnymi pędami. Za tydzień będą już nieprzebyte gąszcze, aleje paprociowe a nim nowy miesiąc zejdzie, roślinność w powietrzu parnem i gorącem rozmnoży się, jak ogień, i zdobędzie stok.

Zapanuje niepodzielnie.

A granit pod florą znowu zacznie gnić...

Mieczysław Limanowski.

Spuścizna po ś. p. Kolbergu.

Mało komu, kto dobrze znał obfitą w plany działalność śp. Kolberga, przychodziło na myśl, ażeby mogły pozostać po nim jakie niezużytkowane materjały etnograficzne. Czyż to nie dosyć — myślał każdy — włożył trudów Kolberg w wydanych przez siebie 30 tomów z górą, opisujących lud polski systematycznie, wiernie a dokładnie? Czyż mogło po nim jeszcze co pozostać nieopracowanego? A jednak nadspodziewanie znalazło się w piwnicach Akademji Umiejętności w Krakowie parę pak z materjałami rękopiśmiennymi Kolberga, porzuconych tam i zapomnianych, butwiejących pod wpływem wilgoci. Staraniem komisji antropologicznej tejże Akademji część tych rękopisów, przeważnie dotąd niewyzyskanych wcale, rozebrało grono uczonych pomiędzy siebie celem ich uporządkowania i wydania, jako dalszego ciągu „Ludu“. Dzięki bezinteresownej niemal pracy tych chętnych ludzi sprawa wzięła obrót jak najpomyślniejszy tak, że w marcu ma wyjść 30-to arkuszowa monografja pod n. „Wołyń“ w opracowaniu sekretarza komisji antropologicznej p. Seweryna Udzieli, poczem pójdzie V-ty tom „Pokucia“ w opracowaniu sekretarza lwowskiego Towarzystwa ludoznawczego, dr. Stanisława Zdziarskiego. Jeżeli tylko Akademja okaże się cokolwiek hojniejszą dla komisji antropologicznej, cała spuścizna po Kolbergu może się rychło ukazać. I wtedy to dopiero stanie się widoczna w autentycznem świetle nieoceniona do dzisiaj zasługa Kohlberga.

JAN ŚWIERK. 6)

SALON MÓD.

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Ciąg dalszy.)

W domu nic nie wiedzą o tem, iż chodzę do seminarjum prywatnego. Ojczulek cieszy się serdecznie, gdy mu donoszę, iż w naukach zupełnie idzie mi łatwo, że profesorowie wybornie wykładają, że koleżanki lubią mię wszystkie, bo im niejeden raz pomagam. Mama trochę się żali na to, iż mnie w domu brakuje, że ojciec odmawia sobie nawet herbaty wieczorem, aby zaoszczędzić się w wydatkach, a młodsze dzieci o mnie ciągle się pytają...

Jestem nad to silniejsza. Choć serce rwie się akże tęsknotą, choć mi żal bardzo, iż zabieram od ojca 10 zł. miesięcznie, ale to wszystko przejdzie, jeszcze wrócę do swoich, ukochanych, najlepszych, jeszcze odpracuję te grosze od ojca zabrane, są one tylko pożyczką... oddam za nie wiele i rodzinie i narodowi.

Sama praca nie szkodziłaby mi, gdyby tylko warunki jej były inne. Ale to powietrze duszne, ciężkie, wilgotne... ach!... jak ono nieraz mię przygniata!...

Z lekcji przychodzę o $^1/_2$2-giej. Obiad zjadam zwykle już zimny, bo u cioci jedzą po 12-tej, gdy panienki wyjdą z pracowni. Po obiedzie siadam do szycia i — tak mija czas do 12-tej lub 1-szej w nocy. Rano o 5-tej wstaję i przygotowuję lekcje.

Mówią, żem trochę zmizerniała. Drobnostka!... Nic mię nie boli, więc widać nie jestem chorą, a że cokolwiek zmęczenie czuć się daje, o to mniejsza troska. Na wakacje, gdy pojadę do naszej wioski, gdy pocznę chodzić wśród tych pól ślicznych, gdy odetchnę tamtejszego powietrza wonią... hej! hej!.. ileż to mi wróci sił — szczęścia — spokoju!...

Tędy przez łąkę, na lewo, jak mieszka Bartkowa.. wysokie zboża stoją niby las, za rzeką zawsze zachodzące słońce stacza się jak ptak szybko opadający, na dół, a wtedy cała rzeka srebrzy się tysiącem blasków, olchy nadbrzeżne stają w ciemności, a między listkami przebłyskuje niebo opalowo-żółte.

Tylko prawda... Gdy ja będę na wsi — już wtedy zboża pożółknieją, już słońce nie będzie zachodziło za rzeką, już kryć się będzie za chaty obok młyna...

Prawda, że ja już wiosny na wsi nie będę widziała... moich kwiatów z pod ziemi wydobywających się nie będę wyglądała, na pierwsze bławaty w pole nie pobiegnę...

Oj, jakam ja dziecinna...

Cóż to znaczy kilka lat? A potem życie całe, całe, długie życie przedemną i lud i praca w szkółce i każde dziecko serce swe mi przyniesie i powie: maluj na niem pani, haftuj na niem, graj na niem... rozpal je pani,... bo wszystko co na młodem sercu zrobisz, zostanie na zawsze i tem żyć będzie... parę lat — a potem życie i wieś...

Siły muszą starczyć i tęsknota musi umilknąć.

Ciocia dziś bardzo zmartwiona.

Posyłała do kilkunastu pań, gdzie się należy za roboty sukien, ale nigdzie nie dano ani centa.

— Pani Zetowa powiedziała, że jak pani będzie się upominać o zapłatę, gdzieindziej będzie

dawała robotę, mówi Elżbietka, która chodziła z rachunkiem.

— Pani Pelowa rzuciła rachunkiem na ziemię, cóż to? wołała.. ucieknę z miasta, czy zlicytuje mię, czy może już nie mam tyle kredytu, aby pani przysyłała z rachunkiem?... Powiedz swojej pani, że jeśli chce mieć porządnych gości, niech się z niemi obchodzi z należytą grzecznością, opowiada znowu Mania Koźlówna, zdolna dziewczynka i z bardzo dobrego domu.

— A u pani nadradczyni byłaś?

— Byłam proszę pani, służąca powiedziała, że są goście i pani nie ma czasu czytać rachunku.

— A ty Elżbietko zastałaś panią mecenasową?

— Trzy razy przychodziłam, dałam rachunek.

— I cóż? Czemu nie kończysz?...

Elżbietka pochyla się nad fastrygowaną listwą popielatej sukni i jakby nie słyszała, o co ją pytają, ani słowa nie odpowiada.

— Cóż powiedziała?...

— Proszę pani, nie warto powtarzać, jakby było co dobrego, powiedziałabym...

— Nie bądź że dzieckiem, tłumaczy ciocia, co usłyszałaś powtórz, wszak jeśli co niegrzecznego nie twoja w tem wina.

A Elżbietka, podniósłszy głowę, cała czerwona jak mak, powiada z widocznym gniewem:

— Pani mecenasowa kazała mi iść i więcej się nie pokazywać, a pani jak chce niech skarży, przekona się, czy wygra sprawę. Pani mecenasowa w sądzie powie, że suknia popsuta i każe sobie zapłacić za materję odszkodowanie.

— Moja ciociu! wołam na to żywo — i ty znosisz podobne obejście się i ty jesteś cierpliwa na podobne rzeczy?

— Los krawczyni zawsze taki. Praca nagła, męcząca, grymasów wiele, a zapłata — z łaski.

— Lecz jakże można zezwalać na to?... dlaczego ciocia oddaje suknie bez zapłaty?

— Obraziłyby się wszystkie, gdybym tak zrobiła. To jest największa niegrzeczność ze strony krawcowej żądać zapłaty... nasze panie mają zawsze to przekonanie, iż dając do roboty suknie, czynią dobrodziejstwo, ale my, upominając się o zapłatę, zachowujemy się niegrzecznie.

Gdy nadeszła pora odejścia panien, Genia, panna bardzo zręczna w ubieraniu bluzek i staników, dziękuje cioci za robotę i prosi o uwolnienie.

— Jakto?... chcesz odejść? pyta ciocia prawie ze łzami — moja kochana, cóż się stało?...

— Ja nie mogę pracować za darmo. Dziś już 9-ty, a ja pensji nie dostałam, ja także mam płacić mieszkanie, ja także zarabiam na życie nie na zabawki, a jak pani nie może płacić — to trudno, abym tu szyła.

Biedna ciocia! pojmuję jak jej to boleśnie usłyszeć podobne wymówki... zdawało mi się, że jakieś cegły ciężkie walą się na głowę, że spadają jakieś głazy rozpalone na te ramiona umęczone ciągłem szyciem.

— Czyż nie widziała panna Genia, iż staram się o pieniądze, cóż jestem winna, gdy mi nie płacą... pojmuję, iż przykro czekać, bo i ja czekać muszę...

— Mnie gospodarz wypowiedział mieszkanie, za mleko przesyłają po dwa razy na dzień, ojciec mój sparaliżowany, pani wie...

I biedna Genia rozpłakała się i ciocia łzy ociera.. a tu dzwonek w saloniku odzywa się... jakieś panie wchodzą...

— Idź Jadwiniu — przyjm panie, ja zaraz przyjdę, tylko łzy otrę szepce ciocia i wybiega do kuchni.

Wchodzę do saloniku, aż tu owa blondynka z dużym warkoczem, wystrojona ślicznie, z jakąś damą starszą weszła i już chwyciwszy żurnale przegląda je szybko...

— Ta toaleta przepyszna — moja mamo.. albo ta bluzeczka... z wstawkami przewlekanemi aksamitką... cudowna.. jaka zmiana w kroju spodnic proszę patrzeć...

Ja stoję i czekam na jakiekolwiek bodaj powitanie, jaki ruch głowy, ale mama i córka tak zajęte są żurnalami, iż nie widzą nawet, czy w salonie jest jaka żywa istota. Czyż one przyszły do kogo?.. Żurnale są tu najważniejszym celem wizyty... one przedewszystkiem.

Po dobrej chwili, wreszcie podniosła się blondyna, ujrzała mię. Zauważyłam doskonale iż poznała mię... ale udając, iż niby to nigdy mię nie widziała, ani nawet nie zrobiwszy ruchu choćby imitującego ukłon — pyta:

— Jest krawcowa?..

— Pani Olska jest i zaraz przyjdzie.

— Tylko prędko, bo my czasu nie mamy... robią się tu ładne staniki? proszę pokazać jakie z pracowni, gotowe, abym widziała jaka robota..

Ton, obejście się, spojrzenie, to wszystko takie ignorujące, takie pełne pychy i zarozumiałości, a wzgardy i poniżenia zarazem dla biorących pracę, iż stałam jak ogłuszona.

Już — już chciałam odpowiedzieć pysznej pannie, aby cokolwiek grzeczniej wydawała rozkazy, gdy weszła ciocia.

Otarła łzy, zmieniła twarz uśmiechem, a witając już od progu gości, poczęła mówić słodkim i uprzejmym głosem:

— Moje uszanowanie! Proszę z łaski swej usiąść, czem mogę służyć?..

Ta ciocia okropna jest. Jak można się tak poniżać, jak można korzyć się przed pierwszą lepszą lalką, która przyjdzie dawać rozkazy, nic dziwnego, iż panie potem nie szanują krawczyni, jeśli one same zbyt kornie się pochylają. Wysuwam się do drugiego pokoju, wzburzona do najwyższego stopnia, trzymam w ręku robotę i słyszę, jak rozmowa w saloniku ciągnie się dalej. Ciocia z pokorą i najuprzejmiejszym uśmiechem odpowiada, panna wyniośle i rozkazująco dysponuje:

— Podszewka jasna, dobrego gatunku, listwa jedwabna. Wedle tego wzoru stanik, tylko, aby dobrze leżał, gipiura kremowa — najlepsza..

— Gipiury takie drogie są... może pani będzie łaskawa pofatygować się, sama kupi, u Przetki są wyborne...

— Nie! nie! niech pani weźmie, pani lepiej dobierze, tylko najgustowniejsze i najmodniejsze..

— Ja uprzedzam, że te najlepsze drogie są, aby potem...

Lecz panna przerywa z obrazą:

— Cóż to?... nie mam wyobrażenia o koronkach? Co będzie kosztowało to mniejsza, ja proszę, aby dodatki do sukien były dobrane jak najlepsze i robota staranna...

— Łaskawa pani daruje, — pokorny głos cioci odzywa się znowu, wybrany fason bardzo jest pracowity, zakładek mnóstwo, udrapowanie mozolne..

— Moja córka wybiera fason wedle gustu i mody, a nie wedle tego ile roboty. Za robotę zapłaci się, ile trzeba będzie, byle suknia była wykonana jak należy i na niedzielę.

— Na niedzielę?.. nie podobna! Mam jeszcze trzy do wykończenia, z tych dwie wyszlę na prowincję, pilne są, dziś czwartek... przez piątek i sobotę niepodobna...

— Jakto? Pani od czwartku do niedzieli nie zrobi sukni?.. śliczna rzecz!.. Ależ ja tę suknię muszę mieć na niedzielę, raut w Sokole... to mi się podoba.. pani nie zrobi.. cha! cha!..

C. d. n.

CHARLES FOLEY.

KRÓLOWA.

(Z francuskiego.)

I.

Było to w „dniu królowej“*). U państwa Verduron urządzano na cześć rodziny Chamusot uroczysty obiad. Mr. i Mdme Verduron żywili po cichu nadzieję wyswatania synowca swojego i jedynego spadkobiercy, Jerzego (wiek 28 lat — malarz — dużo talentu — ale bez grosza w kieszeni) z panną Henriettą Chamusot (jedynaczka — 22 lat — gra na fortepianie — bez talentu — ale duży posag). Około tych dwojga młodych grupował się cały „garnitur“ (tak wyrażała się Madame Verduron): ośmioro dalszych gości, same małżeństwa, które swoim przykładem przyświecać miały Jerzemu do bram małżeńskich. Menu uczty było następujące: rosół z makaronem, zupa rakowa, specjalnie dla pani Chamusot, pieczeń, szpinak w pieczonem cieście, pływający w sosie bretońskim, sałata z rzodkiewką i wreszcie legumina — nie żadne lody, bo to za zimne na zrękowiny — ale lekki panieński omlet. No i wety, naturalnie „piernik królewski“, który zawierał w środku prawdziwą, porcelanową laleczkę — królowę.

II.

Pokrowce z mebli były już zdjęte, a około godziny 7. udała się Mdme Verduron do bocznego pokoju, do panny Lucyny, szwaczki zajętej w domu, aby jej oznajmić, że dziś musi zjeść obiad razem z kucharką. Przy świetle malutkiej lampy siedziała panna Lucyna. Słaba osóbka, do 30 lat licząca, spracowana, blada z powodu wiecznego mroku, panującego w pokoju, w którym ciągle musiała pracować. Jej ładne rysy miały marzycielsko-smutny wyraz, a jej oczy, duże, błękitne, straciły blask przy ciągłem ślęczeniu nad bielizną i podobne były do zamarłych opalów. Poruszała się lekko i bez szmeru, mówiła mało, ledwie poruszając bladymi ustami.

Lubiano ją jako szwaczkę, gdyż pochodziła z dobrej rodziny, którą rok 1870 zrujnował — ceniono ją, gdyż była pilną, porządną i mało wymagającą: 40 cent. dziennie i wikt, bez śniadania.

— Panno Lucyno — rzekła Mdme Verduron —

*) Stary zwyczaj francuski.

mam dzisiaj gości, jeżeli to więc pani w czem nie przeszkodzi...

— Dobrze, proszę pani, zjem obiad w kuchni, odpowiedziała pokornie szwaczka.

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł pan Verduron, z wiadomością, że państwo Robinard nie przyjdą na obiad z powodu przeszkody, a skutkiem tego fatalna cyfra 13 gości zasiędzie do stołu: — „A możeby zaprosić pannę Bricon?“

— Nie — nie, żadnej panny, gdyż ta odwracałaby uwagę Jerzego...

— A młodego Borichona?

— Dziękuję, on zjada za czterech.

— W takim razie niema nikogo, chyba mój woźny, żartował Mr. Verduron.

— Zwarjowałeś? Wobec tego poproszę pannę Lucynę.

Rzuciła okiem na piękną i czystą postać szwaczki, a nieznalazłszy nic w niej niewłaściwego, rzekła z lekceważeniem:

— Może pani zjeść z nami obiad i pomódz przytem nieco przy podawaniu talerzy. Niech się pani trochę uczesze, umyje sobie ręce — a proszę się nie żenować, gdyż nie będziemy na nią wcale zwracać uwagi.

III.

Gdy już wszyscy siedzieli przy stole, wsunęła się cicho panna Lucyna na swoje miejsce, wyznaczone jej między panną Chamusot, a jakąś grubą damą. Zajęła o ile możności, jak najmniej miejsca, gotowa na każde skinienie usunąć się z pokoju.

Mdme Verduron była początkowo nieco zaniepokojoną, ale uspokoiła się natychmiast, gdy zauważyła, że szwaczka nie każe sobie podawać wina i nie tknęła pieczeni, której i tak mało było na półmisku. Gdy się nareszcie pojawił szpinak, do którego nikt jakoś nie miał ochoty, poczęła wołać głośno, aby zwrócić uwagę na swoje dobre serce, do Lucyny:

— Proszę nabrać sobie trochę więcej, wstydliwe wielkie dziecko!

Przy tych słowach oczy wszystkich zwróciły się na Lucynę, która zarumieniła się po uszy. Poraz pierwszy spojrzał też Jerzy na ten delikatny profil, który korzystnie odróżniał się od rysów przyszłej jego narzeczonej. Gorzki uśmiech, który prawie niewidocznie zaigrał na jej ustach, wzbudził litość młodego człowieka. Spojrzał raz jeszcze na nią i zadumał się nad smutną egzystencją istoty, przykutej przez całe życie do igły — te długie dni przy zamkniętych oknach w pokoju z widokiem na ciemne podwórko i pod dozorem chlebodawczyni, pilnującej, aby nawet chwilki czasu niezmarnowała.

Im dłużej się Jerzy w nią wpatrywał, tem mu się piękniejszą wydawała, młodszą, między gośćmi, bardziej zaróżowioną. Z zadumy wyrwał go jednak głos ciotki:

— O czem tak marzysz, Jerzy?

Mdme Verduron podała mu kawałek piernika królewskiego:

— Ciekawam, kto dostał „królowę“? zapytała Mdme Chamusot.

Za chwilkę znalazł Jerzy lalkę w swoim kawałku.

— Król! — niech żyje król — niech sobie teraz obierze królowę — zawołało towarzystwo.

Młody malarz wyciągnął rękę razem z lalką. Wszyscy śledzili z uwagą jego ruchy, Mdme Verduron wskazała mu oczyma Henriettę, uśmiechając się porozumiewawczo. Ale w chwili gdy Jerzy skierował rękę w stronę kieliszka, stojącego przed jedynaczką państwa Chamusot, zwróciła Lucyna piękną swoją główkę ku niemu i popatrzyła nań wzrokiem łagodnym, dziecinnie ciekawym, w którym mieściło się tyle zapomnienia o sobie samej, tyle rezygnacji, że nagle porwała go szalona chęć sprawić niespodziankę zapomnianej istocie. Poruszył ręką, a lalka wpadła do szklanki panny Lucyny.

Nastała piorunująca cisza. Ciotka Verduron siedziała z otwartymi ustami, a cała rodzina Chamusotów przygryzała sobie wargi. Jerzy poczuł, jak mu gwałtownie krew poczyna napływać do głowy, a Lucyna zbladła jak płótno, jej oczy znowu przybrały wyraz zamarłych opalów.

Wszystko trwało tylko dwie sekundy. Z podziwienia godną przytomnością umysłu i z nadzwyczaj dobrze udanem zdziwieniem przerwała panna Lucyna niemiłą ciszę:

— Co za nieuwaga — mój kieliszek stał tak blisko panny Henrietty, że pan Jerzy nie dobrze trafił. Na szczęście kieliszek był pusty...

Zręcznym ruchem odrzuciła lalkę do kieliszka Henrietty tak naturalnym ruchem, że wszyscy uwierzyli w pomyłkę, a przynajmniej musieli udawać, że w nią wierzą. Powstał gwar, a i sam Jerzy nie miał już odwagi wyznać, że to nie była pomyłka, podał ramię Henriecie i przeszli do salonu, nie zwracając uwagi na szwaczkę, która niepostrzeżenie wyszła.

IV.

W dwie godziny później wracał Jerzy sam jeden do domu, gdy nagle z cienia wystąpiła ku niemu jakaś postać kobieca. Przy świetle latarni poznał

malarz Lucynę, która przemówiła do niego drżącym głosem:

— Przepraszam, że pana w ten sposób napadam... ale chcę wiedzieć, czy „królowa“ przypadkiem tylko wpadła do mojej szklanki, czy też wrzuciłeś ją pan umyślnie.

Położyła nacisk na słowa ostatnie. Jej głos drżał.

— Rzuciłem „królowę“ ze świadomością do szklanki pani.

— Dziękuję — — — tak dziękuję panu, gdyż nigdy jeszcze w życiu nie byłam obraną królową. Może się wydam panu dziecinną — ale sprawia mi to wielką radość, ogromną radość. Proszę mi wierzyć, panie Jerzy, iż choć się jest ubogą, samotną i starą — to mimo to nie przestaje się być kobietą. A jeżeli się widzi, że człowiek, tak jak pan, na przekór całej rodzinie, odważa się wzrucić swoją królowę do szklanki biednej szwaczki.. — niech mi pan wierzy, że to dla mnie wielkie zdarzenie...

Młody człowiek stanął zakłopotany, ale ona zrozumiała jego myśli i z lekkim, słabym uśmiechem mówiła dalej:

— Niech się pan nie obawia. Niczego sobie nie wyobrażam. Był to tylko nierozważny krok ze strony pana — grzeczny i litościwy. Ale dla mnie zostanie on na zawsze miłem wspomnieniem. Panu to nic nie zaszkodzi, ale ja będę miała, tak jak każda kobieta, troszkę miłości za sobą i romansu, romansu, który trwał dwie sekundy — ale tak jestem przyzwyczajona poprzestawać na małem, że mi on wystarczy.

W końcu już codziennym, cichym głosem dodała:

— Dziękuję panu — jeszcze raz dziękuję...

I znikła szybko w cieniach nocy, a krok jej był młodzieńczy, elastyczny.

Malarz poszedł za nią — w głębokiej zadumie pogrążony.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Światowit, rocznik poświęcony archeologji przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydawany przez Erazma Majewskiego. Tom. V. Warszawa 1904. Skład główny w księgarni J. Fiszera. 8-ka wielka, str. VI. 1 nlb, z 506 illustracjami i 11 tablicami.

Obok „Materjałów antropologiczno-archeologicznych“, wydawanych przez Akademję Umiejętności w Krakowie — jest „Światowit“ jedynem wydawnictwem poświęconem badaniom archeologji przedhistorycznej. Tem większe jest jego znaczenie, że „Materjały“ przeznaczają bardzo skąpo miejsca na prace z zakresu archeologji. Każdy zaś, komu cokolwiek tylko wiadomo o rozwoju archeologji za granicą, zrozumie łatwo i oceni zasługę p. Majewskiego, który z prawdziwem zaparciem się siebie, bez jakiejkolwiek reklamy, prowadzi niestrudzenie własnym kosztem to wydawnictwo, salwujące honor nauki polskiej wobec nauki europejskiej. Bo my i w tym dziale, jak nie mniej w innych, powinnibyśmy właściwie rumienić się ze wstydu wobec obcych, posiadających osobne organy do uwzględniania archeologji w ogólności. A choć znalazła się ofiarność prywatna na pokrycie ogromnych kosztów wydawnictwa, to brak nam uzdolnionych współpracowników.

Stąd też lwią część „Światowita“ zajmują prace samego redaktora p. Majewskiego p. n. „Nowoodkryty ornament sznurkowy falisty w ceramice neolitycznej południowych okolic Królestwa Polskiego“, dalej „Linja falista pozioma jako motyw zdobniczy w ceramice przedhistorycznej“, oraz część druga obszernego studjum p. t. „Powiat Stopnicki pod względem przedhistorycznym“, wszystkie napisane na podstawie rezultatów własnych wykopalisk. Niezmiernie zajmujące jest też dokończenie rozprawy p. K. Bołsunowskiego p. t. „Znaki symboliczne na ołowiu“, rozpoczętej w poprzednim roczniku. Stały współpracownik „Światowitu“ p. Wandolin Szukiewicz ogłosił tu (szkoda, że rozbitą na dwie części!) pracę o „Narzędziach kamiennych gładzonych w pow. Lidzkim i Trockim“. Do najciekawszych należy wykopalisko złote, dokonane przez p. Al. Bydłowskiego w Nowosiółce w pow. Lipowieckim gub. Kijowskiej, którego część antropologiczną opracował p. K. Słotykwo w artykule p. n. „Czaszki z grobów, odkopanych przez p. A. Bydłowskiego“. Szereg tych rozpraw samodzielnych zamykają ściśle ze sobą wiążące się prace S. J. Czarnowskiego „Czaszka z jaskini Obonysko Wielkie na lewym brzegu Prądnika pod Ojcowem“ i K. Stołykwy „Spy-Neanderthaloides“. W dziale drobnych zapisków („Korespondencja“) objaśniono sprawę opublikowanego w przedostatnim tomie „Światowita“ posążku scytyjskiego, uznając go za zręczny falsyfikat a prócz tego dorzucono parę szczegółów pomniejszej wagi.

W „Przeglądzie archeologicznym“ znajdujemy przekład części V-tej, dzieła prof. dr. L. Niederlego p. t. „Ludzkość w dobie przedhistorycznej“, dalej przekład rozprawy prof. G. Sergi „Pochodzenie i rozsiedlenie szczepu śródziemnomorskiego“, materjały do mapy archeologicznej, zebrane ze „Słownika geograficznego“ przez M. Rawicz-Witanowskiego, oraz takież materjały z gub. Płockiej Z. Rutkowskiego.

Rubryka „Ruch naukowy“ przynosi „Spostrzeżenia nad stosunkiem żwirów czwartorzędnych rzecznych do warstw, wśród których są zawarte, przez E. Majewskiego.

Bogato objaśniony rycinami w tekscie i osobnemi tablicami ten tom kończy szereg rozbiorów i sprawozdań z dzieł obcych, drobne wiadomości i bibljografja „Literatury ogólnej“, dotyczącej kwestji aryjskiej.

PISMA. *Książka*, miesięcznik poświęcony krytyce i bibljografji polskiej, wydawany od lat trzech przez zasłużoną księgarnię warszawską E. Wendego i Sp., ogłosił zeszyt uzupełniający do trzeciego rocznika, który przyniósł przegląd piśmiennictwa polskiego za ostatnie trzylecie. Przegląd ten w krótkim zarysie ogólnym zaznajamia czytelnika z postępem w zakresie nauk filozoficznych, matematycznych, przyrodniczych, historycznych, językowo-literackich, społecznych, medycznych i literatury pięknej naszej i obcej tłumaczonej, w opracowaniu sił pierwszorzędnych, a to: Adama Mahrburga, S. Dicksteina, dr. M. Ernsta, S. Kramsztyka, K. Jabłczyńskiego, J. Lewińskiego, L. Krzywickiego, prof. dr. A. Brücknera, S. Sucheckiego, S. Posnera, St. A. Kempnera, dr. K. Krauza, M. Jahowskiego, W. Gostomskiego, H. Gallego, Wł. Bukowińskiego i Wł. Jabłonowskiego. Brak tylko artykułów o rozwoju biologji, historji powszechnej, pedagogiki, piśmiennictwa ludowego i czasopiśmiennictwa, ale redakcja przyrzeka dać je w najbliższych zeszytach, tłómacząc się niepunktualnością autorów. Obrachunek ten nie przynosi nam zaszczytu, wykazując na wszystkich polach nauki ogromne braki i niedomagania.

Zeszyt noworoczny „*Książki*“ przedstawia się bardzo pięknie. Artykuł wstępny prof. P. Chmielowskiego p. n. „Popularyzowanie historji literatury polskiej zawiera gruntowną ocenę dotychczasowych naszych usiłowań na tem polu, wykazując ich zalety i braki, wskazując drogę właściwą. W dziale krytycznym napotykamy zwięzłe oceny dzieł teologicznych, matematyczno-przyrodniczych, historycznych, literackich, z dziedziny sztuk plastycznych, poezji, powieści i dramatu, książek dla ludu, rolniczych i publicystycznych. Zeszyt ten zamyka bogata kronika bieżąca, spis treści czasopism i bibljografja za grudzień 1903 r. Ze względu na użyteczność pisma, oraz niską cenę prenumeracyjną (rocznie kor. 6) możemy polecić „*Książkę*“ każdemu, kogo interesuje ruch literacki wogóle.

Muzeum, organ Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych we Lwowie, pozostającego pod redakcją dr. Bolesława Mańkowskiego, wyszedł właśnie zeszyt styczniowy, który zawiera między innymi doskonały, ze zrozumieniem sprawy napiszemy artykuł wstępny Verusa „O utrakwizmie w szkołach“ z okazji zeszłorocznej rezolucji sejmowej, dalej piękną pracę dr. A. Danysza „Wychowanie a szkoła“ i piękne „Wrażenia i wspomnienia“ z Wrocławia i Drezna p. E. Dworskiego. Dział recenzyjny jest bardzo bogaty. Na uwagę wreszcie zasługuje „kronika szkolna i pedagogiczna“, w której skrzętnie są zanotowane wszystkie wybitniejsze fakta, jakie zaszły u nas i za granicą na polu szkolnictwa wogóle.

NOTATKI. *Grobowce książąt Mazowieckich.* Podczas niedawno odbytej restauracji starożytnej katedry w Płocku, odkryto pod prezbyterjum grób, w którym znaleziono znaczną ilość ludzkich czaszek i kości. Według relacji dr. Macieszy, który przeprowadził antropologiczne pomiary, kości te pochodzą wyłącznie z osób płci męskiej, sam zaś grobowiec zdaje się pochodzi z XVI. w. Jest uzasadnione przypuszczenie, że do grobu tego wspólnego złożono w czasie ówczesnej restauracji katedry szczątki książąt mazowieckich, których osobne grobowce zostały wówczas zniesione. Spoczywają tam mianowicie szczątki Konrada I. (1247), Bolesława II. (1313), Wacława (1330), Kazimierza I. (1354), Ziemowita III. (1381), Ziemowita IV. (1426), Kazimierza II. (1446), Władysława I. (1455), Ziemowita V. (1456), Ziemowita VI. (1462), Władysława II. (1472), Janusza (1493) i t. d.

Biblioteka w Turynie, która w tych dniach uległa strasznej katastrofie pożaru urządzoną została w obecnej swej formie w r. 1720 przez księcia Wiktora Amadeusza II., który ją oddał na użytek nowo założonego w Turynie uniwersytetu i przyłączył do niej własną bibliotekę prywatną zawierającą mnóstwo manuskryptów i inkunabułów. Bezpośrednio przed pożarem zawierała biblioteka 320.000 tomów, 4038 manuskryptów i 1095 inkunabułów. W r. 1815 przeniósł tu opat Peyron odnalezione manuskrypty, niesłychanej wagi w klasztorze Bobio. W obecnym pożarze spłonęła cała prywatna bibljoteka zbierana wiekami przez dom sabaudzki, dalej zbiór 400 manuskryptów greckich z prześlicznemi miniaturami. W zbiorze tym znajdował się bizantyński komentarz Teodoreta z minjaturami pochodzącymi z 9 wieku. Zginęły dalej: słynny miniaturami ozdobiony rękopis ks. de Berry p. t. „*Les heures de Turin*“ oszacowany na 100.000 fr. historja naturalna Pliniusza, ozdobiona minjaturami i globus wykonany przez artystę medjolańskiego Basso w r. 1570. Niepowetowaną wprost jest strata rękopisów prowansalskich, stanowiących niesłychanie ważne a niezużytkowane dotychczas źródło do dziejów epoki trubadurów. Z 1200 rękopisów łacińskich pewna część ocalała, co się wreszcie tyczy zbioru sztychów, obejmującego 10.321 sztuk (między nimi 21 niesłychanie rzadkich sztychów Dürera) to niewiadomo ile z tego zbioru ocalało. Ogółem dotychczas stwierdzono brak 10.000 książek i dokumentów, nowe zaś skatalogowanie bibljoteki wykaże zapewne i dalsze jeszcze straty. Pożar bibljoteki turyńskiej jest ciosem dla całego świata ucywilizowanego.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

— „Chłędowski Kazimierz. Siena. Kraków. Księgarnia G. Gebethnera i Sp. 1904. 8-ka, str. 528 z rycinami.

— Chrząszczewska Jadwiga. O tem, co się niegdyś działo, opowiadania z historji Polski. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1904. 8-ka, str. 146.

— Z filozofji nauk przyrodniczych. Sześć wykładów, wygłoszonych przez prof. Maur. Rudzkiego, Aug. Witkowskiego, Wład. Natansona, L. Marchlewskiego, Tad. Garbowskiego, M. Straszewskiego, wydał i przedmową opatrzył Maurycy Straszewski. Warszawa. E. Wende i Sp. 1904. 8-ka. str. 151.

— Heck Korneli dr. Spis perjodycznych pism polskich, wydawanych w r. 1903, z podaniem ceny prenumeracyjnej i adresu redakcji. Odbitka z „Przewodnika bibljograficznego“). Kraków-Warszawa. Skład gł. w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1904, 8-ka, str. 27.

— Hoesick Ferdynand. Chopin, życie jego i twórczość, tom. I. (1810—1831). Warszawa. Nakład F. Hoesicka. 1904. 8-ka. str. 881.

— Kozłowski Stanisław, prof. dr. Stanisław Żółkiewski, kanclerz koronny. Kraków. Nakładem krak. tow. oświaty ludowej. 1904. 8-ka, str. 126.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.